

Bank na kretowisku, czyli *polish dream*

Rozmawiali o braciach Golec. Był grudzień roku 2019. Wiadomo, klimaty wigilijne, kolędowe, telewizyjny Sylwester w Zakopanem, kapela z Milówki w takim czasie bryluje...

- A ty ich w ogóle rozróżniasz?
- Mnemotechnika się kłania, kolego. Mówią że ten z puzonem to Paweł, bo na „P“, no to Łukasz to ten z trąbką.
- Fajne, góralskie luzaki, dają czadu, lubię ich. Jak pewnie cała Polska. Można ich nie lubić?

Młodzi ludzie, pewnie studenci, wymieniali uwagi siedząc pod tą samą co Karol przystankową wiatą. Rozmowa jak rozmowa, ot, dla zabicia czasu. Nie zwracali na niego uwagi, on też nie okazywał zainteresowania ich obecnością. Ale temat dialogu pobudził jego korę mózgową. Był dla niego jakoś na czasie.

Wyższy z nich, chyba starszy, dość nieoczekiwanie przeszedł na wyższy diapazon:

- Posłuchaj, tym facetom o coś chodzi! Czy ty to łapiesz? Że to utalentowane, muzyczne fachury, że potrafią w try miga rozgrzać publikę to jedno, ale wsłuchaj się w to, co oni tej publice w swoich tekstach serwują.
- No co takiego? Pędzą konie po betonie, takie to mądre? Sorry...
- Zaraz mądre... Skoczne i wpadające w ucho, a to tylko podkład do prostego, serdecznie szczerego zwierzenia: hej muzycko mojo miła, Kochom cię! Ładne. Albo to ich San Francisco na jakimś beskidzkim ściernisku. Pereleńka! Nie uważasz?

Młodszy miał inne preferencje. Z wyższej, albo z dużo niższej półki.

- Oj tam, oj tam, smakosz i kulturoznawca z ciebie wyłazi, daj se siana, koleś.

Karol zastrzygł uszami. Kulturoznawca? Miałyby z nim o czym pogadać...

Ale chłopcy już się podnosili, bo nadjeżdżał ich autobus. Do uszu Karola doleciały jeszcze strzępki wywodu tego starszego. Oponował, że to się ludziom podoba, że Golce zauroczyły kiedyś prezydenta Stanów a teraz też amerykańskich żołnierzy-muzyków... Młodszy już wchodził do autobusu, gdy drugi dalej perorował:

- Łukasz i Paweł apelują do ciebie gamoniu „nie bój się marzyć!“, czy idea *american dream* to znak firmowy zastrzeżony dla jankesów? A gdzie *polish dream* ?, czy my gorsi?...

Reszty już nie usłyszał, ale pomyślał, że to ładna puenta...

Bo miał Karol i z uporem urzeczywistniał swój własny *polish dream*.

Istniał jego materialny symbol, swoiste „ściernisko“, wyrzut iluś ludzkich sumień, proszący się o lepszy los. Opuszczona, wiekowa rezydencja, która czterdzieści lat temu, mimo rzucającego się w oczy stanu degrengolady, ciągle kryła w sobie niebagatelny potencjał...

Jak to się stało, że Karol, wchodzący teraz w jesień życia, tu właśnie znalazł kiedyś swoje miejsce na Ziemi i coś, z czego uczynił swoje wyzwanie na resztę dni?

O tym będzie ta, nie całkiem zmyślona, gawęda.

Gawęda, w której opowie się o tym co było, by pomarzyć o tym, co powinno się zdarzyć...

Jak został kustoszem

Ukończył kulturoznawstwo i muzykologię, pasjonowała go historia, studia na toruńskim uniwersytecie zbliżyły go do spraw ochrony dziedzictwa przeszłości. Na Pomorzu gdzie mieszkał, jak zresztą na całych, tak kiedyś zwanych, Ziemiach Odzyskanych, był to problem wielkiej, a nie przez wszystkich dostrzeganej rangi i skali. Zabytów, często wysokiej klasy, w porównaniu ze wschodnimi regionami kraju była tu mnogość, tylko że temu bogactwu przejętemu przez nas w roku 1945 nie odpowiadały możliwości zapewnienia im dobrej opieki. Możliwości nie tylko materialne. Bo równie ważne było to, iż nie było po temu elementarnej woli politycznej.

Karol zapamiętał reakcję wicewojewody, gdy w końcu lat 70-tych prosił o jakiś, choćby skromny grosz na zabezpieczenie zabytku, który zawziął się ratować. Sympatyczny skądinąd przedstawiciel aparatu władzy odesłał go z kwitkiem, otwarcie wyznając: „Panie Karolu, nie masz pan większych zmartwień? Toż to szwabskie...“. I nie był to wtedy pogląd odosobniony. Zaiste trudno było oczekiwać, że miłością do niemieckich zabytków zapalają przybysze zza Buga, znękanym koszmarem wojny, gehenną przesiedleń, niedostatkiem, a nade wszystko niepewnością swego dalszego losu. Przez ponad dwa dziesięciolecia, dopóki za kanclerzowania Willy'ego Brandta nie doszło do uznania granicy na Odrze i Nysie, trwał syndrom siedzenia „na walizkach“, przynajmniej wśród części przesiedleńców. Działał też, bo nie mogło być inaczej, czynnik kulturowej obcości. Wobec substancji, której z wyroków historii staliśmy się gospodarzami, co także, długo jeszcze, obniżało szanse przetrwania „nie naszych“ zabytków. Wszystko to razem sukcesywnie redukowało ich liczbę i przez całe dziesięciolecia pogarszało kondycję zabytków.

Świadom tych dylematów młody i energiczny, świeżo upieczony kulturoznawca, kiedy los zetknął go z konkretnym, jednym z tych, wołających o pomoc, ostańców, zwanym przez lud okoliczny „pałacem“, choć był to późnorennesansowy szlachecki dwór, lub (z racji pewnej obronności) raczej zamek, postanowił zająć się nim. Na serio i z determinacją.

Dla zwykłych zjadaczy chleba wyglądało to jak akcja straceńcza. Tylko początkowo.

Co w istocie sprawiło, że tamta szalona kampania okazała się skuteczna?

Sam bohater tej opowieści nie miał na to dobrej odpowiedzi. Myślał o tym czasem, ale po prawdzie nigdy tych myśli nie uporządkował. Gdy czasem zdarzyło mu się takie pytanie usłyszeć, odpowiadał wykrętnie -

- Jestem zodiakalny baran, a ten typ tak ma.

Dla niezorientowanych miał rozwinięcie w postaci wymownego gotowca. To był rysunek Andrzeja Mleczki. Tenże pokazał kiedyś po swojemu poczet dwunastu znaków zodiaku. Jego Baran siedzi oszołomiony na chodniku, łeb w bandażach, nad baranią głową krążą gwiazdki, ale za nim widać mur z wybitą dziurą. Baran z wejrzeniem jak po ciężkim nokaucie, unosi prawą rękę z palcami w „V“.

Takie facecyjne puentowanie udanej w końcu inicjatywy obywatelskiej oczywiście nie wystarczy. Patrząc na chłodno, była to wieloletnia sekwencja działań prowadzonych w zmiennych warunkach, nieustępliwie, często wbrew różnym utrudnieniom i blokadom, ale przecież z niezłym efektem finalnym.

Zatem przyjrzyjmy się, choćby w skrótowym ujęciu temu, jak Karol - najpierw solowo, a potem już z kolegami - z tym ambitnym zadaniem sobie radził i ostatecznie poradził.

Zaczął się wczesną wiosną 1977 roku.

Karol wybrał się do wojewódzkiego konserwatora zabytków. Wiekowy już urzędnik, znany i oddany swojej misji fachowiec, przyjął go natychmiast, gdy w telefonie usłyszał, że jest ktoś, kto z troską pyta o stan i dalszy los dawnej siedziby szlacheckiego rodu von Landau.

- PGR wnioskuje o rozbiórkę - z rozpaczą w głosie przywitał Karola - a ja jestem bezradny. I już w gabinecie kontynuował.

- Zgody nie wydam. Zamek jest w rejestrze zabytków, są studia i badania potwierdzające jego wielkie walory. Nie do pomyślenia jest, żeby w regionie miał zniknąć kolejny zabytek. Zbyt wiele ich już przepadło. A nie kto inny, jak sektor pegeerowski, z reguły właściciel takich majątków, ma na sumieniu najwięcej grzechów wobec tutejszego dziedzictwa wieków. W tym przypadku, gdy w końcu lat 40-tych PGR przejmował poniemiecki majątek, obiekt był w bardzo dobrym stanie. Zagospodarowali go, a jakże, ale nie kiwnęli palcem w bucie, gdy trzeba było cokolwiek naprawić. Jak już łało się na łeb wyłączali z użytkowania kolejne pomieszczenia i tyle. Mogłem ich wzywać do działań, ale to było rzucanie grochem o ścianę. Wołanie na puszczy. Żeby choć polityczni decydenci chcieli mnie wesprzeć, ale to temat dla nich zupełnie nie interesujący.

O tym akurat Karol też już wiedział.

Teraz usłyszał, że stanowisko PGR-u jest brutalnie klarowne: albo szybko znajdzie się dla zamku innego gospodarza, albo musi dojść do rozbiórki. Bo obiekt od lat stoi pusty, już jest ruiną, destrukcja szybko postępuje, mnożą się dzikie rozbiórki i tylko patrzeć jak dojdzie do nieszczęścia. Dyrekcja PGR-u nie zamierza za to odpowiadać.

Karol pilnie słuchał.

Nie znał wcześniej tego pana, ale nie mógł nie dostrzec jego szczerego, całkiem osobistego zatroskania o los zabytku. Teraz ta rozmowa i postawa gościa musiała urzędnika jakoś pokrzepić. Chyba ujrzał w nim sojusznika, bo nieoczekiwanie zapytał, czy Karol nie byłby skłonny zostać społecznym opiekunem XVII-wiecznego zabytku?.

Był skłonny. Zdecydował o tym od razu i na gorąco.

Dlaczego? Tego właśnie sam do końca nie wiedział.

Czy był to impuls duszy ambitnego Polaka, nie godzącego się na przypinanie nam w nieskończoność bismarckowskich epitetów o „polnische Wirtschaft“? Myślał Karol tak: sprawiedliwymi wyrokami historii weszliśmy na te ziemie, ale niepodobna byśmy w ich dziejach zapisali się jak barbarzyńscy Hunowie. Kiedyś germańscy „kulturtraegerzy“ chcieli na swoją modłę cywilizować ludy słowiańskie. Czyż Polacy, mający swój znakomity, 1000-letni dorobek w kulturze, nie powinni odwrócić kierunku tamtej ekspansji i tworzyć teraz na tych ziemiach nowych świadectw, godnych własnych, wspaniałych tradycji? Powinni! Ale może powodował nim też pewien osobisty motyw, tkwiący gdzieś w podświadomości? Było to nieskomplikowane wskazanie, jakie w okresie matury usłyszał od taty, gdy rozmawiał z nim o planach na przyszłość. Ale i o tym jak żyć?... Ojciec, przedwojenny notariusz, góral z pochodzenia i filozofii powiedział: „żyj uczciwie, ciekawie i pożytecznie“.

Czy w tym momencie nie dała znać o sobie ta jakże prosta, aksjologiczna triada?

Może...

Kilka dni później nasz bohater dysponował stosownym giejtem i z nim w garści wprosił się na rozmowę do dyrektora PGR-u.

Przeżył pewne zaskoczenie. Facet był dość młody. Nie robił wrażenia tępego aparatczyka. Nie lekcewał problemu. Tłumaczył że jest w obecnej roli od niedawna i nie ma ochoty brać na swoje sumienie tego, co się z „pałacem“ działo w minionych latach. Sam skupiał się na zarządzaniu dużym, liczącym kilka tysięcy hektarów kompleksem paru historycznych majątków. Niemal w każdym istniała dawna szlachecka rezydencja, a czasem już tylko ślady po niej...

Karol wyłożył mu to, co już wiedział o siedzibie rodziny von Landau, przywołał stanowisko organu konserwatorskiego, że zgody na rozbiórkę być nie może i nie będzie i chciał od dyrektora usłyszeć, co w takim razie dalej?

I usłyszał:

- Ten pałac czy zamek to może i kawałek historii, dla mnie to strup na łbie. Co mam z tym zrobić? No powiedz pan sam. Od dawna mówię konserwatorowi i wszystkim naokoło, że natychmiast przekażę go każdemu, kto go zechce i potrafi się nim zająć.

Dla Karola był to jakiś punkt zaczepienia.

Porozmawiali jeszcze chwilę i rozstali się, chyba obydwaj dobrze o sobie myśląc. Karol odniósł wrażenie, że i ten rozmówca dostrzega w nim nie upierdliwego marudę, lecz kogoś kto, być może, jakimś zrzędzeniem losu, właśnie spada mu z nieba...

* * *

Początkowo było pod górkę...

Znaleźć i pozyskać nowego gospodarza dla ginącej rezydencji!...

To teraz dla kustosa było zadaniem numer 1.

Jako pracownik magistracki, widział jakieś szanse dzięki współpracy z kolegami z wydziału urbanistyki. To tam przewijali się czasem potencjalni inwestorzy. Karol był czujny i nie zanedbywał żadnej okazji, by reklamować komu tylko się da „swoją“ zabytek i jego walory. Dla dostrzeżenia jego urody, mocno teraz skażonej piętnem dewastacji, trzeba było pewnej dawki wyobraźni, ale wśród tych których Karol wtedy tu przywoził i agitował, byli też tacy, którzy dawali się uwieść jego elokwencji i zdawali się podzielać entuzjazm kustosa.

Bo też warto spojrzeć na ten szczególny *casus* z szerszej perspektywy.

Budowla robiła wrażenie nie tylko okazałą bryłą i tchnącym z niej duchem wieków, ale też urodą rustykalnego krajobrazu. To miejsce rzeczywiście podpowiadało różne wizjonerskie scenariusze, jakie mogłyby się tu rozgrywać. To zresztą była stała, niemal obsesyjna skłonność samego Karola. Było coś jeszcze, co uruchamiało jego wyobraźnię. Znał coraz lepiej dzieje zamku, ale z tej faktografii nie wynikało na razie nic, coby go jakoś wyróżniało. Wiedział o kilku pożarach, znał kolejne fazy budowy, nie miał również wątpliwości, że ta budowla była dziełem mistrzów (ciągle anonimowych) niepośledniej klasy, ale to tyle. Jakże ważne wydarzenia miały tu miejsce? Jakże znaczące postacie w nim bywały? Jakoś trudno sobie wyobrazić, że w jego czterystuletniej historii nic ciekawego się tu nie zdarzyło.

Karol kontynuował badania, planował kwerendy w źródłach oraz w polskich i zwłaszcza niemieckich archiwach. W tej misji detektywa, był ciągle na początku drogi. I oto, dość nieoczekiwanie, wszystko co już wiedział i to co non-stop animowało jego aktywność, podsunęło mu i taką myśl: to może ta wiekowa budowla swój najlepszy czas ma dopiero przed sobą?... Ot, taka sobie luźna refleksja, ale to ona teraz Karola olśniła.

Najpierw włączyła mu się lampka samokontroli: że - bez przesady, trochę pokory..., ale za chwilę myśl poszybowała wyżej i Karol mruknął do siebie: a właściwie dlaczego by nie?...

I rychło w głowie zaczęły mu się mnożyć strzępki wizjonerskich koncepcji i argumenty że, ależ tak, to ma sens! Jeśli dotąd był w sprawę tego zabytku mocno zaangażowany, to teraz była to już determinacja granicząca ze zwykłym świrem bądź obsesją... Odtąd wszystko coraz bardziej układało mu się w katagoryczne „Karolu, musisz!”. To był jego „punkt bez odwrotu”. Był jak skoczek narciarski, który już ruszył z belki. Ten etap w jego kustoszowaniu, przyszedł później, kiedy zamek był już uratowany i, choć nadal był to plac budowy, zaczął tętnić coraz intensywniejszym życiem.

O tym jeszcze będzie mowa, teraz wróćmy do schyłku lat siedemdziesiątych. Jak kiedyś wyliczył, takich „akwizycyjnych” wizyt aranżowanych w zrujnowanym zamku odbył szesnaście. Różni kandydaci się przewijali. Ktoś widział tu siedzibę instytutu badawczego, filię uniwersytetu, ktoś przymierzał go do teatru lalek, komenda ZHP mówiła o stancy harcerskiej. Byli emisariusze różnych podmiotów, przedstawiciele archiwum państwowego, a nawet hotelowej sieci Orbisu, która przez jakiś czas wydawała się tym obiektem na serio zainteresowana. I wszystko na nic. Niezmiennie powtarzały się rejterady. Kandydaci znikali chyłkiem albo tłumacząc się z brutalną szczerością: „miły panie, to lata roboty, użerania się z konserwatorem, no i jakie koszty! Za takie pieniądze można od zera i to dużo szybciej, wybudować nowy obiekt”. Logika, pragmatyzm, trudno było z tym dyskutować... A w polskich realiach działa się coraz gorzej. Ubolewał wieszcz w dramacie, że „pospolitość skrzeczy” tak i teraz, tu w Kraju nad Wisłą, skrzeczała ona coraz bardziej. Gierkowska koniunktura dawno minęła, problemy narastały, zbliżał się czas strajków. Pochylanie się nad dogorywającym zabytkiem, i to o zgrozo! „szwabskim”, dla zdrowo myślących pragmatyków trąciło dziwaczną fanaberią.

* * *

W karnawale „Solidarności” i potem

Katastrofalna mizéria, coraz bardziej pograżająca kraj, zaowocowała zjawiskiem z każdego punktu widzenia unikatowym. A dla tej sprawy jakże cennym: powstała „Solidarność”!...

Poza wszystkim czym ona była i z czego stała się tak znana, miała nieoceniony, ale chyba nie bardzo dostrzegany, wpływ na morale polskiej nacji. Powiew niczym niekrępowanej obywatelskości ożywił ludzką kreatywność, pobudził i uaktywnił wiele środowisk i wspólnot lokalnych. Uaktywniał je nie tylko politycznie, ale właśnie w sensie prawdziwej obywatelskości. Działał syndrom odbijającej sprężyny. Znany fizykom ale i socjologom, bo mający odpowiednik w sferze ludzkich zachowań. Mowa o uwalnianiu energii. Gdy jakieś czynniki ją blokują, jest ona energią potencjalną, ale zwolnienie blokad sprawia, że staje się kinetyczną enregią ruchu. W Polsce było to wtedy bardzo widoczne.

Czas zwany „karnawalem Solidarności” (po latach Karol wyklócał się z tymi, którzy tego określenia używali jako epitetu) i cała radykalnie nowa sytuacja, okazały się generatorem różnorodnych krajowych ale też - jak Polska długa i szeroka - lokalnych inicjatyw.

Gdy tylko powstał w Krakowie Polski Klub Ekologiczny, mocno zaangażowany w boje z trucicielami takimi jak podkrakowska „Skawina”, czy jeleniogórska „Celwiskoza” ale także w edukowanie rodaków ku wrażliwości ekologicznej, Karol ochoczo przyłożył rękę do

powstania koła PKE tu gdzie żył i pracował. Region „Solidarności“ wsparł inicjatywę udzielając ekologom kąta w swojej siedzibie na organizowanie spotkań i publicznych wykładów. Rychło okazało się, że nowe zjawisko, jakim był ruch ekologiczny, spotyka się z żywym rezonansem społecznym. Koło szybko okrzepło. Prowadziło akcje edukacyjne, miało rubrykę w lokalnym tygodniku, zaangażowanych w prace koła przybywało, także ekspertów różnych specjalności. Pojawiały się kolejne sprawy, w które koło angażowało się interwencyjnie. Ludzi pociągały niekonwencjonalne eventy publiczne. Dobra ilustracją była akcja protestacyjna przeciw beczynności władz miasta wobec faktu, iż w staromiejskim centrum straszły swym widokiem puste, zagrożone całkowitą ruiną stare kamieniczki. Karol z kolegami upatrzyli sobie jedną z nich, obwiesili ją transparentami i na jej parterze, dostępnym z chodnika przez pozbawione szyb witryny, zorganizowali publiczny wykład o ekologii. W przygotowanych ulotkach przybliżali gromadzącym się ciekawskim swoją misję i konkretne zamierzenia koła PKE.

Jeden z obywateli, najwyraźniej już po solidnej sesji piwnej, oparty o futrynę drzwiową przy wejściu, słuchał wywodu profesora-antropozofa o ekologii głębokiej, komentując w sposób niezbyt składny, niektóre jego wątki. Potem się wyciszył i gdy zaczęła się ogólna dyskusja, słuchał coraz uważniej i w którymś momencie zabrał głos.

- Wy tu takie mądre rzeczy mówicie, chcecie organizować jakiś warsztat ekologiczny, to może ja też bym się przydał? Ja jestem hydraulik...

Zbyszek O., autor ulotki „warsztat ekologiczny“ i główny organizator wydarzenia poprosił go o dane kontaktowe i odtąd pan Zdych stał się bywalcem spotkań koła.

Idea „warsztatu ekologicznego“ żyła i stopniowo dojrzewała. Była przedmiotem działań rozpozawczych na temat ośrodków ekologicznych, znanych od lat w Europie zachodniej. Członkowie koła uczyli i uwrażliwiali współobywateli, ale nieustannie edukowali też sami siebie. Wszystko to razem, układało się w klimat fermentu intelektualnego i zbiorowej kreatywności. Naturalnym efektem były chęć i gotowość pro-ekologicznych działań i to możliwie konkretnych.

To, co teraz nastąpiło Karol dobrze sobie przemyślał.

Był czerwiec roku 1981, gdy na spotkaniu koła wyłożył własną wersję „warsztatu ekologicznego“. Idea Zbyszka została koncepcyjnie wpisana w dogorywający gdzieś na peryferiach miasta zamek Landau'ów, o którego istnieniu większość obecnych nie miała pojęcia. Profesjonalnie przybliżył towarzystwu walory XVII-wiecznej siedziby szlacheckiej, walory historyczno-artystyczne ale także użytkowe (wiadomo: na razie tylko potencjalnie), opowiedział o ponad trzyletnich już, jałowych próbach pozyskania nowego gospodarza...

Zakończył puentą odważną, nawet jak na to grono -

- Jak nie teraz, to już nigdy, no i kochani... jak nie my, to kto?

Nie wszystkich to przekonywało.

- Bez przesady! Co ekologia ma do zabytków? - usłyszał od Benka K., leśnika z zawodu.

- No właśnie - zareagował Karol - to dobry temat na seminarium.

I wywodził :

- To, że ekologia jest jedną z dyscyplin przyrodniczych, po prawdzie zresztą dość wąską, to fakt. Wiem coś o tym. Mój brat to ornitolog, uniwersytecki przyrodnik. Jego bulwersuje ekspansja ruchu nazywanego się ekologicznym i coraz liczniejszy w nim udział ludzi zgoła nie przyrodniczych zawodów. Powiedzmy, że każda branża ma swoją świętą ortodoksję. OK! Ale słuchając jeremiad przyrodników, powinniśmy się rozejść do domów. Bo na przykład jaki ekolog ze mnie, muzykologa? Tylko że, drogi Benku, ten pociąg już jedzie.

Słusznie, czy nie, ale to że apele o czyste środowisko poszły w społeczność światową, to już zjawisko globalne. Cenne! A zresztą: języki ewoluują, wiele pojęć robi dziwną karierę i tak jest z ekologią. Dziś pod jej szyldem są nie tylko fachowcy, troszczący się o różne żyjątka i o całą biosferę, ale i multum innych naszych bliźnich. Tych, których obchodzi środowisko, uwaga!, we wszystkich jego komponentach. Poza przyrodą, czy jak wolisz Naturą, jasne że mega-ważną!, chodzi o krajobraz, o środowisko kulturowe w tym, tak jest! o zabytki. Także o środowisko społeczne, krótko mówiąc o człowieka. Jeśli chcemy żyć pięknie, zdrowo, długo i szczęśliwie to to wszystko musi trwać w harmonii...

Benek, zwolennik konkretności, mało elegancko wszedł mu w słowo:

- Rozgadał się nasz świątły muzykolog. Seminarium może by się i przydało, ale teraz powiedz Karolku o co ci chodzi?
- No to krótko: wybierzmy się tam, do tej ruiny i wtedy pogadamy konkretnie, czy to nas interesuje, czy nie. Są chętni?

Chętni byli.

Był czerwiec roku 1981. Kilka dni później, dowiedziona przez Karola drużyna w składzie: Ewa F., drugi z Benków czyli Benek C., Zbyszek O. i Rysiek G., wykonała desant na zabytkowy zespół folwarczno-dworski.

W oczy rzucał się znamienity kontrast. Zespół folwarczny, czyli pegeerowskie gospodarstwo krów mlecznych, jeśli nawet nie grzeszył urodą, to jednak żył i nieźle prosperował. Na tym tle zrujnowana budowla, położona jako dominanta w centrum całego kompleksu, porażała! Pracownicy PGR-u znali już Karola, zresztą pojawienie się teraz tej grupki nikogo nie zainteresowało. Tonący w chaszczach zamek, pozbawiony niemal wszystkich drzwi i okien był non-stop dostępny dla każdego, rzec można zapraszał wręcz ciekawskich ryzykantów ale też szabrowników i wandalów, do penetrowania do woli jego wnętrza. Był jak bezpłatny magazyn materiałów budowlanych.

Od ostatniej wizyty Karola zmieniło się tyle, że przybyło ubytków w pokryciu dachu, poza tym wymontowano dalsze profilowane belki stropowe, złożone teraz na piętrze do wywózki. Poza Zbyszkiem architektem, w grupie desantowej nie było znawców zabytków, ale i bez tego wizja lokalna okazała się strzałem w dziesiątkę. To miejsce rzeczywiście pobudzało wyobraźnię. Podyskutowali stojąc na porośniętym chaszczami dziedzińcu i teraz już nie było wątpliwości, że oto stoją wobec swojego ważnego wyzwania. Lapidarnie ale mocno podsumował to Karol:

- Uważam, że mamy tu szansę potwierdzić i świetnie zilustrować ekologiczny kanon „myśl globalnie, działaj lokalnie“? Czy nie jest warta mozołu perspektywa uczenia z tego koszmaru prawdziwej chluby miasta i regionu? A przy okazji też siedziby dla nas samych? Konsensus był pełny, choć było jasne, że to zadanie na miarę Herkulesa. Ale odtąd już nie dywagowano w kole „czy?“, ale „jak?“...

I tak jak parę lat temu, punktem wyjścia była znów wizyta u urzędnika od zabytków.

Konserwator przyjął delegację koła natychmiast.

Wiedział, że dotychczasowa bieżączka społecznego kustosa okazała się jałowa. Ale śledząc ruchy i determinację Karola, był pewny że ten facet łatwo nie ustąpi.

Koło PKE, o którym w okolicy było coraz głośniejsze, przekonało go do swoich wizji do tego stopnia, że wkrótce sam zgłosił akces do Polskiego Klubu Ekologicznego. A teraz, ku nieskrywanej radości przybyłych, zapewnił, że na ile to tylko będzie możliwe, koło może liczyć na jego wsparcie i pomoc.

Dla Karola i kolegów to był strzał ze startera.

Sprawa nabrała wigoru. Teraz wymagała wielu sojuszników, ekspertów i wolontariuszy. Hasło „RATUJMY ZAMEK“ zaczęło krążyć w różnych środowiskach i okazało się, że bez trudu można było pozyskać spory krąg chętnych do wdania się w to nietypowe, dla wielu szalone, przedsięwzięcie.

Tak było, bo też był to w Polsce czas wyjątkowy! Różne indywidua, hobbyści, marzyciele, pasjonaci swoich fachów, którym inercyjna szarzyzna lat komuny blokowała osobiste spełnienia, mieli oto swój dobry czas. „Solidarność“, ta z dużej litery i w cudzysłowie, ale też ta bez cudzysłowu, okazywała się zaraźliwa. Ujawniała się obywatelska troska o dobro wspólne, skłonność do bezinteresownego angażowania się w takie czy inne sprawy lokalne. Kampania na rzecz ratowania zamku i przywrócenia go do życia przyciągała środowiska miłośników regionu, architektów, budowlanców, konserwatorów, teoretyków ale i mistrzów rzemieślniczej praktyki. Również biznes, wtedy jeszcze szczątkowy, dawał znać o swoim zainteresowaniu akcją. Polski Klub Ekologiczny firmował ją i nagłaśniał a konserwator wojewódzki zaczął przecierać ścieżki do rządowych funduszy. Sprawa była wyraźnie na dobrej drodze, gdy w grudniową niedzielę roku 1981 przyszło tąpnięcie.

* * *

Entuzjazm pasjonatów prostym zabiegiem, na zasadzie „pałą w łeb“, brutalnie zgasła władza.

Obywatelskie marzenia padały. Niektóre, wraz z zasobami ludzkiej energii, schodziły do podziemia. Niestety, konspira nie mogła być sposobem na ciąg dalszy zamkowej kampanii. Do „pałacu“ powrócili szabrownicy i czas regresu znów przyspieszył. Los rezydencji Landau'ów teraz już zdawał się być na dobre przesądzony.

Ale Karol, jak to zodiakalny baran, także w tych warunkach nie myślał opuszczać rąk. Odszedł z magistratu i zatrudnił się u Tośka, stolarza a z drugiego zawodu budowlanca, kolegi z koła PKE. Miał u niego pracę, ale też miał w nim doświadczonego partnera do dyskusji o tym, jak zorganizować plac budowy i roboty zabezpieczające w zamku. Razem szlifowali te pomysły, nie wątpiąc że czas po temu musi przyjść i przyjdzie.

W dalszych działaniach Karola nieoceniona okazała się komitywa z urzędującym konserwatorem. Był historykiem sztuki, z pasją oddany służbie, ale łączyło ich coś jeszcze. Cenił sobie patriotyczne i AK-owskie tradycje własnej rodziny. Od polityki partyjniackiej stronił a przez nomenklaturowe sita awansów przechodził jako sprawny urzędnik, ale przede wszystkim jako znany i ceniony fachowiec. Zagadnięty kiedyś przez Karola o politykę, odpowiedział:

- Ja panie Karolu, to jestem państwowiec z odchyleniem republikańskim.

Bratnia dusza, pomyślał nasz bohater...

Realia stanu wojennego znosił pan konserwator z trudem. Jak większość rodaków. Nieco później Karol dowiedział się, że ten urzędnik przymykał oko, wiedząc że po godzinach jego personel na zapleczu biura produkuje solidarnościową bibułę.

W sumie był ten pan dla Karola sojusznikiem wymarzoną. Pozostawali w kontakcie, choć realia i rygory stanu wojennego blokowały praktycznie wszelkie możliwości sensownego działania na rzecz zamku.

I zabytek ginął. Niszczyły go bezlitosne siły natury oraz szabrownicy, teraz już całkiem bezkarni. Zrozpaczony kustosz szukał sposobu na przecięcie tego impasu i go znalazł.

W rozmowie „pa duszam“ z konserwatorem wspólnie przyjęli taktyczny plan akcji. Pierwszy ruch należał do Karola. Jako formalnie ustanowiony społeczny kustosz wysmażył sążnisty raport, którego adresatem był tenże konserwator wojewódzki. Był to opis walorów XVII-wiecznego zabytku i afirmacja jego wyjątkowej wartości, ale przede wszystkim gromkie bicie na alarm w obliczu grożącej mu zagłady. Konserwator powielił ten dokument i już od siebie wysłał go do dyrekcji PGR-u i kilku innych instytucji, którym los zabytku nie mógł być obojętny. Wysłał go z własnym pismem przewodnim wyznaczając im w tej sprawie termin spotkania w swoim urzędzie. To pismo otrzymał też Karol. Był to koniec grudnia „wojennego“ roku 1982.

* * *

Ratowanie zabytku

Narada w urzędzie konserwatorskim okazała się przełomem.

Sytuacja zabytku, znana dobrze także zwierzchności obecnego właściciela czyli szefostwu zjednoczenia PGR-ów, architektowi miejskiemu i innym uczestnikom spotkania, została omówiona w całym jej dramatyzmie. A gdy trzeba było przejść do konkluzji, dramat tylko się pogłębił. Gdy konserwator dobitnie raz jeszcze potwierdził, że zgody na rozbiórkę nie wyda i do obecnych skierował pytanie, co w tej sytuacji proponują, powiało beznadzieją. Zapytał więc Karola :

- A co na to społeczny kustosz?

Karol był przygotowany, ale wolał tego nie okazywać. Po krótkiej chwili, ku zaskoczeniu obecnych, oświadczył, że gotów jest zabytek uratować. I tak rozwinął tę deklarację:

- Widzę taką możliwość, przy spełnieniu trzech warunków. Po pierwsze, od dyrekcji PGR-u oczekiwałbym pełnomocnictwa, że działam w imieniu właściciela. Po drugie, liczę na kilka milionów złotych od pana konserwatora. Trzeci warunek to zgoda, abym mógł w tym obiekcie, takim jaki jest dzisiaj, zamieszkać.

Zabrzmiało to dziwnie, ale konkretnie.

Co do owych kilku milionów, przypomnijmy, że były to całkiem inne miliony niż dzisiaj. Chodziło o najskromniejszy zakres robót, tylko dla zablokowania postępującej destrukcji budowli.

Po chwili konsternacji, radykalne credo wygłosił dyrektor PGR-u:

- Panie, a po co panu moje pełnomocnictwo? Chodźmy jutro do notariusza i masz pan ten cały pałac za symboliczną złotówkę dla siebie... OK?

Karola zatkalo. Był zaskoczony, ale nim zdążył powiedzieć, że nie o to mu chodziło, że go ta oferta nie interesuje, zdecydowanie wkroczył konserwator. Zrugął dyrektora,.

- Dla pana, panie dyrektorze, wygodne by to było. Ale nie tędy droga! To wyście ten zabytek zgnoili i to pan jako właściciel musi za niego nadal odpowiadać. Ja powalczę w resorcie o jakieś środki, ale PGR mi je na końcu zwróci.

Tak doszło do wyjątkowego konsensusu, który rychło potwierdzono stosownymi umowami. Karol podejrzewał, że deklarowanie przez PGR refundacji kosztów robót, to wymuszona, może i akceptowana w resorcie kultury fikcja, ale tylko takim manewrem, wyręczając właściciela, można było podjąć remont ratowniczo-zabezpieczający.

Jego rychłe uruchomienie było teraz pilnym zadaniem Karola.

Nie miał potrzebnego doświadczenia, bo i skąd?, ale miał doradców, no i sporo osobistej energii. Konserwator dawał mu poniekąd parasol ochronny, ale przecież Karol nie mógł być zaskoczony, gdy usłyszał :

– Ministerstwo da te pieniądze, ale musi pan wiedzieć, że będzie pan miał kontrole.

Był początek roku 1983. Karol nadal pracował jako stolarz u Tośka, ale teraz, gdy jego „polish dream“ naprawdę ruszał, musiał jak najsensowniej przygotować się do konfrontacji z wyzwaniem, które wziął na siebie.

I zaczął działać.

Od dyrektora PGR-u odebrał pełnomocnictwo i przydział na służbowe mieszkanie w zamku. To określenie było eufemizmem. Chodziło o lokal na parterze, który jeszcze kilkanaście lat temu zajmowała ostatnia z pegeerowskich rodzin, a teraz użytkowało go, oczywiście na dziko, okoliczne menelstwo. Zaletą było to, że tu jeszcze nie lało się na głowę, uchowały się deski w podłodze, zewnętrzne drzwi i pozbawione szyb okna. Instalacje były wybebeszone. PGR podniósł ten standard: w drzwiach wejściowych w miejsce łańcucha i masywnej kłódki wstawiono zamek, oszklono okna, podłączono prąd i telefon. Kustosz miał prowizoryczny gabinet, który niebawem musiał stać się równocześnie pakamerą brygady roboczej. Z jej kompletowaniem nie miał problemu. Już wcześniej wypatrzył paru okolicznych luzaków typu „złota rączka“. Wiedział, że niektórzy nieźle znali zamek, mając na sumieniu swoje grzechy i szabrownicze dokonania...

Potrzebny był jeszcze głównodowodzący na placu budowy, uprawniony kierownik budowy. Na zasadzie przez ludzi do ludzi, Karol dotarł do pana Jurka, inżyniera, wcześniej zatrudnionego w tak zwanych „pekazetach“, czyli Pracowniach Konserwacji Zabytków. Takie doświadczenie było tu na wagę złota. Na funkcję majstra Jerzy zaproponował świetnego, góralskiego mistrza ciesiołki, pana Jana z Podhala. On też miał za sobą lata pracy w P.K.Z., i to w usługach eksportowych.

Pozyskiwanie fachowców było sprawą kluczową, ale nie zamykało etapu przygotowań. Środki z funduszu ochrony zabytków, nie mogły być rzecz jasna, przekazane na prywatne konto kustosza. Konserwator, na mocy porozumienia wyręczający PGR, mógł zlecić remont tylko specjalistycznej firmie. Karol z kolegami rozważał różne warianty. Nieoczekiwanie dobre rozwiązanie, spadło z nieba, gdy Tosiek przyniósł wieść, że po okolicy krążą szukając zleceń, emisariusze niedawno powstałej polonijno-zagranicznej firmy o profilu właśnie konserwatorskim. Karolowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Odszukał ich, pokazał zamek, przedstawił całą sytuację i w krótkim czasie firma zgłosiła ofertę usługową w urzędzie konserwatorskim.

Dziś warto napomknąć, że w latach 80-tych nie było ustawy o zamówieniach publicznych, dzięki czemu rzecz cała potoczyła się szybko i bez zakłóceń.

Firma zawarła umowę z konserwatorem, zatrudniła całą grupę zorganizowaną przez Karola, z nim samym włącznie, jako koordynatorem całej akcji.

Wiosną roku 1983, zabytek czekający od lat na ratunek, zamienił się w pulsujący życiem plac budowy.

* * *

To, co działo się tu przez następne pięć lat było ważne i na swój sposób ciekawe. Omówimy to w skrócie, dla ciągłości gawędy, w której będzie jeszcze kilka dalszych etapów.

Najważniejsze: w roku 1988 zamek był uratowany, zabezpieczony i miał wszelkie szanse doczekać pomyślniejszych czasów. No i wreszcie miał solidnego gospodarza.

Ale od początku i po kolei.

Już wtedy, kiedy firma urządziła się na placu budowy, zamek w całej jego porażającej mizerii został zapisany w obszernym foto-serwisie. Wykonał go dla konserwatora pan Tomasz, znany w okolicy dokumentator zabytków. Później, do samego końca robót ratowniczo-zabezpieczających pojawiał się tu z kamerą regularnie i cały proces został utrwalony na blisko dwóch tysiącach zdjęć.

Remont objął bardzo szeroki zakres prac rozbiórkowych, ogólno-budowlanych, a więc murarskich, ciesielskich, dekarских, instalacyjnych, oraz - na ile było to konieczne - także konserwatorskich. Budowla odzyskała stabilną statykę, była pod dachem i znajdowała się w stanie określanym jako stan surowy otwarty.

Było coś więcej. Zgodnie z regułami sztuki konserwatorskiej umowa objęła także badania bezpośrednie remontowanego zabytku: analizy wątków i zapraw murarskich, odkrywki w tynkach, przyczym te ostatnie ujawniły relikty renesansowych i barokowych malowideł ściennych. Także ekipy archeologów kilka razy prowadziły tu swoje badania.

Efektom takich działań, było znaczne poszerzenie wiedzy o tym zabytku. Okazało się że jego historię tworzyło sześć głównych faz budowy i modernizacji. A szczególnie ważne było to, że badania jednoznacznie dowiodły, iż rezydencja ta była dziełem nie byle jakich mistrzów: muratorów i artystów-rzemieślników, nie tylko lokalnych. Teraz można już było przypisać zabytkowi dużo wyższą rangę, niż ta z jaką kojarzony był dotychczas.

Czas naznaczony klimatem stanu wojennego, w którym trwał remont, nie sprzyjał popularyzowaniu zabytku. Zresztą i Karol, związany z podziemiem „Solidarności“ i czujący oddech esbecji wolał być mało widoczny.

Ale pod koniec tego okresu sytuacja była już inna. Aparat komunistyczny czuł zbliżające się przesilenie i blokady, stopniowo łagodniały. W którymś momencie ze stanu hibernacji wyszedł Polski Klub Ekologiczny i Karol mógł koleżeństwu zakomunikować, że akcja podjęta w czerwcu 1981 roku właśnie kończy się sukcesem. Koło PKE szybko odzyskiwało wigor, jego planami zaczęły, jeszcze dość ostrożnie, interesować się lokalne media. Tak oto, do opinii publicznej zaczęły docierać wieści o zabytkowym zamku, uratowanym od zagłady za sprawą „ekologów“.

Nie tylko sytuacja zabytku uległa zmianie. Także w życiu prywatnym kustosza nastął wtedy nowy czas. Karol się ożenił.

Z Ewą połączyła go solidarnościowa konspira. Ale nie tylko, ona też była zodiakalnym baranem, podobnie nieustępliwa w dążeniu do celów, zwłaszcza, gdy szło o sprawy dobra ogółu. Wszechstronnie utalentowana, zwłaszcza jako świetny organizator różnych akcji. Profesjonalnie, jako dietetyczka po studiach makrobiotycznych, była zdala od spraw zabytków, ale pasje i wizje, które nakręcały męża dobrze rozumiała i podzielała. Naturalną kolejną rzeczą, pełna rewitalizacja zabytku, w którym odtąd już mieszkali razem, stały się życiowym wyzwaniem także dla Ewy.

* * *

Na przełomie epok

Nadchodził koniec komunizmu w PRL-owskim wydaniu. Wigoru nabierała aktywność Polskiego Klubu Ekologicznego, „Solidarności“ i innych środowisk, wspierających idee

przywracania zamku do życia. Karol czuł, że w uratowany już zabytek musi zostać wpisana odpowiednia struktura, która powinna przejąć zadania jego gospodarza. Temat stawał się nośny. Nad wypracowaniem najlepszego rozwiązania głowił się spory już krąg pasjonatów. I wymyślili rozwiązanie zaiste unikatowe.

Gdy chodzi o społeczne inicjatywy *pro publico bono*, najbardziej naturalne jest zawiązywanie stowarzyszeń czy fundacji. Ale w roku 1988 coś takiego jak dzisiejszy sektor pozarządowy praktycznie jeszcze nie istniało. Opresyjna władza wołała tę sferę, a może ją szczególnie, trzymać pod kontrolą. Ekolodzy powiedzieli sobie „no, trudno“ i... podparli się kodeksem handlowym. Bo ten działał. Był czas słynnej reformy Wilczka, różnych spółek powstawało w kraju coraz więcej. Tylko że ta miała być bytem nieco egzotycznym. Pani notariusz była zdziwiona, gdy każdy z ponad dwudziestu udziałowców przed podpisaniem umowy spółki, kładł też autograf na dokumencie sporego formatu, zatytułowanym „deklaracja ideowa założycieli spółki EKO“. Wszyscy, poza panią notariusz, byli na taki dublowany akt narodzin spółki, przygotowani. Deklaracja ideowa nie miała rangi dokumentu prawnego, nie była też załącznikiem do umowy spółki. Co zatem oznaczała ta niezwykła forma powołania do życia podmiotu z natury biznesowego? Ano tyle mniej więcej, że każdy ze współników był świadom, że współtworząc założycielski kapitał, wspiera sprawę i podmiot, którego misja ma dopiero w drugiej kolejności charakter komercyjny. Krótko mówiąc: „wkładam w to obywatelskie dzieło swój grosz, a to kiedy i czy w ogóle doczekam dywidend, to się okaże...“.

I spółka powstała.

Karol został jej prezesem, wiceprezesem - dziennikarz Wojtek, autor świetnie zredagowanej deklaracji ideowej. Szefostwo rady nadzorczej współnicy powierzyli Andrzejowi, byłemu przewodniczącemu lokalnej „Solidarności“.

Gwoli prawdy historycznej przypomnijmy pewną subtelność. Kodeks handlowy można było wykorzystać, ale także w tym przypadku istniał znamieny rygor: spółka mogła powstać jeśli obok osób fizycznych, tworzyły ją osoby prawne. Chodziło o tak zwane „jgu“, czyli jednostki gospodarki społecznej. Ot, jedna z bzdurnych regulacji, potwierdzająca że ludowa władza, choć w pośredni sposób, zapewniała sobie wgląd w sprawy zawiązywanej spółki. Tak to jakoś wtedy funkcjonowało...

Z pozyskaniem owych „jgu“ na współników twórcy spółki problemów nie mieli. Inicjatywa miała dobry, coraz szerszy odbiór. Po podjęciu przez swoje zarządy stosownych uchwał, współnikami zostały lokalne oddziały PKE, stowarzyszeń architektów i urbanistów, kilka spółdzielni i firm usługowych.

Trzeba tu koniecznie opisać znamiennej woltę, jaką wykonała kluczowa (w optyce twórców EKO) „jgu“, czyli - ni mniej ni więcej - tylko PGR. Wejście do spółki przez podmiot właścicielski uratowanego już zabytku, było logiczne i korzystne dla wszystkich. Spółka, która z tym miejscem wiązała swoje strategiczne plany, miała mieć w nim swoją siedzibę. Zaś PGR, wcześniej całkowicie bezradny wobec tego dobra kultury i gotów przekazać zamek komukolwiek, kto uwolniłby go od tego „strupa na łbie“, teraz uzyskiwał szanse podreperowania prestiżu, no i jakiegoś wpływu na dalszy los zabytku. Rozmowy przygotowawcze zdawały się rokować jak najlepiej a dyrektor wyglądał wręcz na entuzjastę pomysłu. Niestety! W przeddzień założycielskiego spotkania u notariuszem, jego sekretarka powiadomiła Karola, że PGR do spółki nie wchodzi. To był niedobry sygnał, zbyt dużego kalibru, stawiający projekt pod znakiem zapytania a conajmniej jutrzejszy termin zawarcia

umowy spółki. Karol odbył błyskawiczną konsultację ze sztabem projektu i od Andrzeja usłyszał:

- Ponoś cię optymizm. Ja tam nie ufam aparaczykom. Ten facet może i nabrał ochoty, bo projekt jest świetny, a z ciebie niezły agitator, ale on ma partyjną czapę. Ktoś przytrzymał go za uźdę. Czy komitet wojewódzki, któremu wadzi inicjatywa bezprizornych ekologów i tropionych nadal przez esbecję solidaruchów, czy wprost ta służba? A czort z nimi, jestem za tym, żeby spółkę organizować bez łaski PGR-u.

Nie tylko Andrzej tak uważał. Sabotaż dyrekcji PGR-u nie zadziałał, terminu w notariacie nie odwołali i spółka powstała. Kwestię jej adresu rozwiązano w prosty sposób. W akcie notarialnym znalazł się prywatny adres Karola, identyczny z pocztowym adresem zamku, co pozwalało działać i czekać na dalsze zmiany w kraju.

Czekać, ale nie jałowo. .

Spółka EKO ruszyła z wigorem. Zdobywała zlecenia z różnych dziedzin, dla których miała fachowców. To były prace na terenach zieleni, inwentaryzacje i projekty budowlane, ekspertyzy dotyczące zabytków, usługi archeologiczne. Do wykonywania tych i innych zleceń spółka zatrudniała stale lub dorywczo 10 osób. Tu wychodzi specyfika EKO. Ci sami fachowcy, ale dodatkowo też rosnący krąg wolontariuszy, wykonywali równolegle zadania niedochodowe np. misje edukatorów, obsługę turystów chcących czegoś dowiedzieć się o tym zabytku, spotkania z wycieczkami szkolnymi i tp. EKO dwa razy w roku, wiosną i na jesieni, organizowało w centrum miasta kiermasze ekologiczne, co było żywiołem Ewy. To była niezła autopromocja spółki i jej misji osadzonej w „deklaracji ideowej“. To działało. Ta misja zyskiwała rezonans ponadlokalny. Zaczęli zjawiać się partnerzy o zbliżonych profilach z Niemiec, Holandii, potem też z Czech. Karol i koledzy mogli się dowiedzieć, że w zachodniej Europie funkcjonuje „alternatywny sektor gospodarki rynkowej“. Spółka EKO była poniekąd czymś takim właśnie...

Spójrzmy na to o czym mowa z nieco wyższego pułapu.

Gospodarka kraju generalnie dołowała, ale drobna przedsiębiorczość tu i ówdzie kwitła, pojawiali się prywatni inwestorzy, obroty EKO dość szybko rosły. Działała przez trzy lata i zanim wykończył ją balcerowiczowski „popiwiek“ jej obroty sięgały 500 mln zł. A zaczęło się od kwoty 7,5 mln zł wyłożonych przez współników jako kapitał startowy. Były to niewielkie kwoty, bo przecież mowa o innych niż dziś milionach. W tamtych już niebawem skreślaliśmy cztery zera...

Ważne było coś innego, coś co mogło zaskakiwać. „Egzotyczna“ spółka szybko zaczęła zyskiwać na popularności, czego efektem był wzrost liczby udziałowców. Z początkowych dwudziestukilku, wkrótce było ich ponad czterdziestu a w końcowej fazie istnienia EKO – dziewięćdziesięciu trzech. Były to osoby z różnych rejonów kraju, i wszyscy oni, tak jak założyciele spółki, sygnowali jej deklarację ideową.

To w tej fazie naszej opowieści, w Polsce nastąpił historyczny przełom.

Poza innymi jego efektami fundamentalne znaczenie miała zmiana pozycji i roli lokalnych samorządów. Gminy i ich demokratycznie wybrani eksponenci stawali się rzeczywistymi partnerami dla inicjatyw jak ta, którą poprzez różne zakręty dziejowe i „bez względu na niepogodę“ - od lat pilotował Karol.

A w tym przypadku było tak: konserwator wojewódzki, zgodnie z ustaleniami z 1982 roku, wezwał PGR do zrefundowania nakładów, jakie pochłonię ratowniczo-zabezpieczający remont Pałacu. Gdy PGR bezradnie rozłożył ręce, w sprawę wkroczył świeżo wybrany

prezydent miasta i wydał zarządzenie, na mocy którego zabytek odebrany PGR-owi stał się własnością gminy.

* * *

W nowej rzeczywistości

Nastąpiła nowa rzeczywistość w kraju, a niezależnie od tego także sytuacja zamku zmieniała się znacząco. Po pierwsze nastąpiła jego własnościowo-prawna rekomunalizacja.

W sensie wizualnym była to już imponująca, choć jeszcze nie „dopieczona“, ale dość zadbana, kubaturowa dominanta w centrum nieźle jeszcze funkcjonującego PGR-u.

Ten obraz w nadchodzących latach miał ulec wymownej, niezbyt optymistycznej ewolucji. Koniec epoki PGR-ów sprawił, iż opustoszała obora, niedawno jeszcze zajęta przez 70 krów mlecznych. Stopniowej degrengoladzie zaczął ulegać cały, już wcześniej po części zrujnowany, kompleks folwarczny. A po kilkunastu latach wygląd tego miejsca nabrał, niejako samoistnie, wymowy symbolu. W lokalnym pejzażu nastąpiła zamiana ról: zamek nie tak dawno zrujnowany i umierający w scenerii kwitnącego PGR-u teraz żył i korzystnie zmieniał swój wygląd, podczas gdy w zabudowaniach gospodarczych zapanowała martwota, aktywność szabrowników i destrukcja. To stan z początku obecnego stulecia/tysiąclecia.

Przezwrot dziejowy dobrze przysłużył się sprawie, której poświęcona jest ta opowieść.

Inicjatywa obywatelska zmieniła sztyld. Jak i dlaczego do tego doszło?

W Polsce zapanowała zbiorowa, euforyczna niemal miłość do „prawdziwego kapitalizmu“.

- Z hasłami o alternatywnej gospodarce rynkowej nie trafimy do ludzi - przekonywali Karola koledzy, realisci mocniej stojący na ziemi - spółka to spółka, niech robi biznes, a my przestańmy się drapać lewą ręką w prawe ucho i założmy fundację. To ona powinna być „strażnikiem świętego ognia“ i realizować misję zapisaną w deklaracji ideowej.

I tak się stało.

Ważąc różne za i przeciw, walne zgromadzenie spółki wyasygnowało kilka procent z wypracowanego kapitału i ustanowiło własną FUNDACJĘ. Z ekologią i kulturą w nazwie. Prezesem jej zarządu został Karol, który prezesostwo EKO przekazał w ręce kolegi Mariana. Było to w sierpniu roku 1990.

Rajcy miejscy, jak chyba ogół lokalnej społeczności, z ciepłym zainteresowaniem przyjęli informacje o powstaniu organizacji społecznej, mocno nawiązującej do wieloletniej kampanii, która uratowała cenny zabytek. Miasto i FUNDACJA uzgodniły wspólne reguły gry i zawarły umowę o nieodpłatnym użytkowaniu zamku przez FUNDACJĘ. A ona brała na siebie wszelkie powinności nie tylko jego zarządcy ale też inwestora remontu dużego zabytkowego obiektu. Teraz już nie remontu zabezpieczającego, ale pełnego zakresu prac konserwatorskich i adaptacyjnych, czyli całego procesu jego rewaloryzacji i rewitalizacji. To wyzwanie stawało przed FUNDACJĄ i przed właścicielem, którym nie przestawało być Miasto. Ale... w tej sytuacji jednak przede wszystkim przed FUNDACJĄ.

Jej ówczesną sytuację trzeba naświetlić tu bliżej. Jak większość powstających w Polsce podobnych bytów była - używając powszechnego wtedy epitetu - fundacją żebraczą. Krótko mówiąc „cienki boleć“ z dobrymi pomysłami i ze społecznikowskim „pauerem“, ale bez pieniędzy. Ten mankament daje się czasem przeskoczyć, gdy chodzi o stypendium dla utalentowanego ucznia, zorganizowanie eventu, tablicę pamiątkową itp. Tu jednak rzecz dotyczyła inwestycji, zadania o wiele bardziej skomplikowanego i wydatków nieporównanie

większej skali. W rolę INWESTORA wchodziła NGO bez pieniędzy i etatowego menedżmentu, całą aktywność opierająca na wolontariacie.

Karolowi przyszło słuchać komentarzy, że to *mission impossible*, karkołomna i bez szans... Ale takie opinie wysłuchiwał przecież Karol już kilkanaście lat wcześniej. Było fascynujące zadanie, była determinacja, byli sojusznicy, to i musiało się udać.

* * *

Teraz opowieść obejmie okres ponad dwudziestu lat. To lata o których pisząc, możnaby wydobyć wiele ciekawych wątków i zdarzeń, ale nie kronikarskie motywy są powodem, dla którego ten tekst powstaje.

Pozwól przeto Czytelniku, że przez te 20 lat przemkniemy narracyjnym sprintem.

Po pierwsze - **remont**

Był prowadzony w tempie, na jakie pozwalały fundusze, zdobywane przez FUNDACJĘ. Zabiegi o wsparcie kierowała do różnych podmiotów, najczęściej w formie aplikacji grantowych. Łącznie zrealizowała blisko 60 projektów różnego typu. Duża część z nich była związana wprost lub pośrednio z rewaloryzacją zamku. To dzieło wspierały fundusze: konserwatorski, ochrony środowiska, dotacje z budżetu gminnego czy marszałkowskiego, także granty sponsorów zagranicznych. Najbardziej znaczące były dotacje z unijnego programu Phare CBC, w łącznej wysokości blisko 1,5 mln euro.

Efektem był 60-procentowy stan zaawansowania remontu. Choć część pomieszczeń była jeszcze w stanie surowym, na odzyskanie pełnej urody czekały też zamkowe elewacje, to był to stan, który pozwolił na wydanie przez nadzór budowlany pozwolenia na użytkowanie obiektu. Była to w istocie legalizacja tego, co miało tu miejsce od lat. Tu było mieszkanie kustosa, pełniącego początkowo rolę ciecia i stróża, potem biuro spółki EKO a następnie FUNDACJI. Przy tym sam plac budowy funkcjonował jako poligon szkoleniowy, a zamek był celem wycieczek szkolnych i coraz częstszych wizyt turystów z kraju i zagranicy. Taka była nietypowa specyfika tego miejsca. W odróżnieniu od innych, szybciej remontowanych zabytków, tu nie było czekania na finalne przecięcie wstęgi, bo swoje przyszłe funkcje ten przywracany do życia zabytek pełnił praktycznie od momentu, gdy Karol stał się jego lokatorem.

Po drugie - **misja**

Ta była klarowna. Wynikała z deklaracji ideowej EKO z jesieni 1988 roku. Zawierała trafną diagnozę sprzeczności w jakie popada cywilizacja, lekkomyślnie naruszająca równowagę w relacjach z naturą, ze środowiskiem kulturowym i społecznym oraz stawiając człowieka w sprzeczności z samym sobą: zagubionego w różnych systemach wartości i szukającego sensu życia w posiadaniu, a nie w twórczej samorealizacji. Wobec zagrożeń jakie niesie ten stan rzeczy, twórcy EKO stawiali na ideę EKOROZWOJU. Nie w formie pięknych haseł, lecz przez próbę jej praktycznej aplikacji. Tu i teraz. W postaci ośrodka, którego misja oparta ma być na triadzie **Wiedza**→**Edukacja**→**Praktyka**. Ergo: o skojarzenie tego, co - w interesujących nas dziedzinach niesie postęp w światowej nauce z jego upowszechnianiem oraz wdrażaniem w materię życia.

Tak rozumiana misja ma swojego adresata: środowisko społeczne. Celem i kanonem tego makro-projektu winno być tworzenie i ochrona więzi między ludźmi z bliższego i dalszego

otoczenia, więzi opartych na wspólnocie interesów i dążeń, w tym na trosce o harmonijny byt przyszłych pokoleń. Czyż to nie proste? I nie słuszne?...

Choć w ciągu minionych trzydziestu lat ruchy ekologiczne przeszły i nadal przechodzą różne, mniej lub bardziej udane metamorfozy, to zarysowane wyżej główne kanony ośrodka, nie straciły na aktualności. Gdy dorobek FUNDACJI został nominowany do prestiżowego wyróżnienia, laudator uznał za stosowne określić go mianem tyleż enigmatycznym, co wymownym - „laboratorium obywatelskich działań pozytywnych“.

Po trzecie - **wizja**

FUNDACJA Od początku wiązała ją z konkretnym miejscem na Ziemi, czyli z Zamkiem. Ale nie tylko. Dla animatorów misji wyzwaniem była też sceneria tworząca jego otoczenie. Nie mogło być inaczej z oczywistych powodów. Tak nakazuje doktryna konserwatorska, głosząca, iż ukształtowane przez wieki kompleksy, obejmujące historyczne rezydencje z ich otoczeniem folwarcznym czy założeniem parkowo-ogrodowym, stanowią całość i tylko jako całość powinny być rewaloryzowane, ewentualnie modernizowane. Drugi powód również ma odniesienia historyczne. Zabytkowe rezydencje dworskie czy pałacowe, nie mogły funkcjonować bez zaplecza gospodarczego. Utrzymanie pałacu na odpowiednim poziomie, ubogacanie go dziełami sztuki czy artefaktami rzemieślniczymi nie było możliwe bez funduszy właściciela, a te zapewniały majątki rolne, młyny, tartaki, browary, dworskie karczmy, zajazdy etc. Karol wiedział to ze studiów na toruńskim UMK. Kolega architekt oszacował pozostałości po zabudowaniach pegeerowskich na kilkanaście tysięcy metrów kwadratowych powierzchni użytkowych, do uzyskania gdy w miejscu obecnych ruin odtworzy się historyczną kompozycję całego układu. Otworzy to możliwość budowy ośrodka, o różnych funkcjach, wpisujących się w triadę **Wiedza→Edukacja→Praktyka**. Karol i koledzy nie zakładali, że ośrodek miałby być placówką budżetową. Ten przez nich projektowany, tworzący - co niebagatelne - conajmniej 100 nowych miejsc pracy, powinien mieć w swojej strukturze także dobrze dobrane moduły wysoko dochodowe.

Pojęcie wizji ma swój wymiar architektoniczny. Sprawa jest oczywista, gdy mowa o zamku. Tu chodzi o przywrócenie mu kształtu i wystroju z czasów dawnej świetności. Za to obiekty otaczające, dziś to tylko zrujnowane resztki, to budynki młodsze niż zamek, utylitarne, nie reprezentujące jakichś walorów estetycznych. A jednak to elementy całej kompozycji przestrzennej. Ostateczne ukształtowanie tego kompleksu jawi się jako wyzwanie dla architektów, specjalizujących się warsztatowo w pracy z zabytkami przeszłości. Tu efekt końcowy musi pogodzić wymogi zachowawczo-konserwatorskie z - jakże uprawnioną - ambicją kreatywnego architekta. Karol nieraz o tym myślał. Jeśli zamkowa dominanta ma tu być „perłą w koronie“, to jak każdemu klejnotowi należy się jej odpowiednia oprawa. Marzył mu się międzynarodowy konkurs architektoniczny na ten temat.

Po czwarte - **realia**

Oczywistym warunkiem materializowania strzelistych wizji było uzyskanie tytułu prawnego do otaczających zamek zabudowań. Zamek należał do Miasta, ale nieruchomości i grunty dawnego majątku, pozostawały w dyspozycji Agencji Nieruchomości Rolnych Skarbu Państwa. Obiekty te, wraz z trzydziestohektarowym arealem mocno już zapuszczonych pastwisk i łąk, przejęła FUNDACJA umową dzierżawną.

Wszystko o czym opowiadamy, działo się i dzieje w zmiennych realiach zewnętrznych.

Wszystkie te lata były dla Karola nieustannym szlifowaniem zamysłów, jakie pojawiały się od spontanicznego impulsu, by ratować ginące dobro kultury. Życie stale przynosiło kolejne dylematy. Z czasem zasadniczym okazał się problem bieżących kosztów utrzymania zabytku. Nie był on istotny, gdy w pałacu funkcjonowało tylko mieszkanie kustosa, który tzw. media sam opłacał i jedno, niewielkie pomieszczenie biurowe, zaś część kosztów eksploatacyjnych wchodziła w koszty placu budowy. Ale to było rozwiązanie przejściowe, czego Zarząd FUNDACJI był świadom. Gdy w kontaktach z rajcami i włodarzami miasta Karol próbował ich na to uczyć, rezonans był marny. Gdy doszło do spotkania z panią prezydent, Karol postawił tę sprawę w imieniu FUNDACJI najklarowniej jak potrafił:

- Nas cieszy, że to co robimy spotyka się ze zrozumieniem i życzliwą akceptacją Miasta. Możemy to centrum utworzyć a potem prowadzić na waszym szanowna gminie, ale byłoby słusznie i, że tak powiem, przyzwoicie, żeby Miasto, konstruując roczne budżety, pamiętało, że to do właściciela należy choćby częściowe ponoszenie kosztów jego utrzymania.

I nie bez sporego zaskoczenia usłyszał:

- To może my wam ten pałac przekazemy w darowiznie? Na własność. Rozważcie to.

Karol co rychlej zrelacjonował rozmowę Zarządowi FUNDACJI. Koledzy byli zaskoczeni nie mniej niż prezes. Nie od razu podjęli decyzję. Dostrzegali różne za i przeciw. Ale w przekonaniu, że FUNDACJA ma znaczące sukcesy i jest na fali wznoszącej, wiara we własne siły przeważyła i odważny scenariusz został zaakceptowany. Początkowo mniej przekonania do niego miała zwierzchność, czyli Rada FUNDACJI. To grono zacnych ludzi bez wątplenia utożsamiających się z misją i wizją organizacji, od lat widzące zaradność Karola i jego niespożyte zasoby energii, dało mu się chyba usnąć. Rada nie była skłonna szukać własnej kreatywności w budowaniu strategii i przyjęła pozycję solidnego nadzorca. Ostatecznie, także Rada podjęła to szczególne wyzwanie.

Przygotowania do sfinalizowania aktu darowizny trwały długo. W toku negocjacji Miasto zażądało zmiany w statucie organizacji. Chodziło o wyraźne zobowiązanie do zapewnienia zabytkowi pełnej, właścicielskiej opieki. Kontrowersji nie było, zmiana w statucie została dokonana i niebawem cały temat został wprowadzony pod obrady Rady Miejskiej. Wniosek dotyczący miejskiej darowizny złożył prezydent, pozytywnie zaopiniowały go kluczowe dla sprawy komisje i obecny na sesji Zarząd FUNDACJI miał satysfakcję, widząc zgodną jednogłośnie radnych wszystkich opcji, podejmujących historyczną uchwałę.

Na jej wykonanie znów przyszło poczekać. Przejęcie przez FUNDACJĘ zamku nastąpiło na mocy notarialnego aktu darowizny w roku 2008, po kolejnych wyborach samorządowych. Miało uroczystą oprawę i było wydarzeniem nagłośnionym w lokalnych mediach.

* * *

Dla FUNDACJI był to przełom.

Przed znaną, ale w istocie zebraczą organizacją społeczną, która z dnia na dzień zyskiwała status właściciela sporego majątku, otwierały się nowe możliwości. W jej szeregach rósł optymizm, mobilizacja i poczucie łapania wiatru w żagle. Zamek stawał się nową placówką kulturalną w mieście, miejscem wystaw, koncertów a nawet gościnnych spektakli teatralnych, o coraz większym zainteresowaniu turystów nie mówiąc.

Stawał się ośrodkiem integrującym społeczność osiedla. Wymowne było, iż już wcześniej, w dniach kolejnych wyborów różnych szczebli, właśnie w zamku sytuowany był obwodowy lokal wyborczy.

I jeszcze ważne dopowiedzenie.

Zamek stał się miejscem spotkań obywatelskiego Eko-Forum. Ta formacja, zrzeszająca ileś osób i organizacji o proekologicznych zainteresowaniach, odbyła tu cykl otwartych debat, poświęconych konkretnym projektom FUNDACJI. Były to np. projekty bio-ogrodów o funkcjach produkcyjno-dydaktycznych, koncepcje założenia parkowo-ogrodowego i stawu kąpielowego czy zamiar wdrożenia formuły energooszczędnego budownictwa „pasywnego“, utworzenie usługowej spółdzielni socjalnej. Oczywiście flagowym projektem FUNDACJI pozostawało kontynuowanie i finalizowanie procesu rewaloryzacji zamku, łączone nadal z praktyczną nauką rzemiosł w zawodach „około-zabytkowych“.

Te i inne zamierzenia układały się w spójną sekwencję procesu tworzenia ośrodka. Kolejne moduły, jak kamyki w mozaice, miały budować jego funkcjonalny program i materialną strukturę.

Ze strony Agencji FUNDACJA otrzymała deklarację przekazania jej pofolwarcznych ruin za symboliczną złotówkę. Agencja doceniała to, że dzierżawione przez FUNDACJĘ arealy po dwóch sezonach rekultywacji radykalnie zmieniły swój wygląd.

Uruchomiona została zamkowa restauracja jako pierwszy moduł w działalności dochodowej. Modułem kolejnym, o większej skali i znaczeniu ponadlokalnym, stała się wszechnica rzemiosł konserwatorskich, inicjatywa unikatowa w skali kraju. Należy bowiem wiedzieć, że o ile w Polsce istnieją znane wyższe uczelnie: w Toruniu, Krakowie, Warszawie i we Wrocławiu, kształcące świetnych specjalistów, konserwatorów na poziomie akademickim, to bezpośrednich wykonawców na poziomie rzemieślniczym nie uczy nikt. Jak wygląda „produkcja“ tej podstawowej kadry do prac przy zabytkach, Karol i koledzy mieli okazję dobrze poznać dzięki partnerskim kontaktom z podobnymi organizacjami w Niemczech. Te wieloletnie kontakty owocowały, o czym już wspomniano, kolejnymi kursami i praktykami na tym placu budowy. Był więc już solidny stan przygotowania w tej materii. „Wszechnica“, wzorowana na modelu niemieckim została zarejestrowana jako „niepubliczny zakład kształcenia i doskonalenia zawodowego“.

I ruszyła. Miała już za sobą pomysły, pierwsze doświadczenia w fazie rozruchowej.

Jeśli dodać, że równolegle prowadzone były i dobrze rokowały, starania o dalsze, niezbędne fundusze, wszystko zdawało się zapowiadać, iż XVII-wieczną zabytkową rezydencję wraz z otoczeniem, czeka ileś dobrych, dynamicznych lat...

* * *

... i wtedy po raz drugi tąpnęło

Po raz drugi, bo - przypomnijmy - przed trzydziestu laty kampania ratowania zabytkuomal nie padła, gdy w Polsce wprowadzono stan wojenny.

Teraz zdarzyła się katastrofa całkiem innego rodzaju.

Czy można to nazwać innym słowem niż katastrofa? Dla Karola był to trwający od siedmiu już lat porażający, destrukcyjny horror. Ale przecież nie poddał się i przetrwał...

O tym, co się stało należy tu opowiedzieć w suchym, faktograficznym skrócie.

To będzie wątek kryminalny.

* * *

Paradoksalnie impulsem sprawczym, który wpędził FUNDACJĘ w kryzys, było uzyskanie tytułu własności cennego zabytku. Cennego kulturowo i historycznie, ale i w walorach finansowych. Gdy sprawa znalazła się na sądowych wokandach, rzeczoznawcy oszacowali jego wartość na ok. 7 milionów złotych. Niemiecki kolega z zabytkowej branży, gdy mu Karol o tym wspomniał, skomentował „chyba nie złotych a euro?...“. Bo, że w tle kryzysu znalazły się kwoty z wieloma zerami, to pewne...

Teraz już ad rem.

Był rok 2010, gdy Zarząd FUNDACJI, będącej, jak już była mowa, na fali wznoszącej, uznał za konieczne wydatne wzmocnienie swojej struktury. Ceniąc sobie swój genetycznie wolontariacki charakter, postawiono na profesjonalizację i zasilenie struktury o mocny, stały menedżment. Grono entuzjastów, nawet tak skuteczne w działaniu jak w tym przypadku, to inna kategoria niż tacy, co porafią pomnażać majątek zamieniając „szare na złote“. Majątek już był a co do „szarego“- nie brakowało szarych komórek generujących naprawdę dobre projekty. Trzeba było tylko dać im szansę!

FUNDACJA uruchomiła casting, mający wyłonić i pozyskać najlepszych z możliwych, prawdziwych menedżerów. Chętnych nie brakowało. Zarząd wspólnie z Radą przyglądali się różnym kandydatom, dopóki na topie tych przymiarek nie znalazło się młode, świetnie prezentujące się warszawskie małżeństwo. Bo i studia kierunkowe, ona - ochrona środowiska, on budowlanec, języki, doświadczenie biznesowe ale także trzeciosektorowe. Do tego własne zasoby finansowe i obietnica oddłużenia FUNDACJI, bo w międzyczasie pewne zobowiązania narosły. Na członkach Rady musiała też zrobić wrażenie fascynacja, z jaką komentowali, jak mówili, „świetne projekty pana Karola, które tu jałowo zalegają na regałach“, dodając, że bardzo chcą osobiście pomóc w realizacji tych wizji. Brzmiało to zaiste budująco. Warunkiem, jaki stawiali było ich wejście w skład organów statutowych FUNDACJI. Taką też uchwałę Rada podjęła, po czym ostatnią swoją uchwałą sama siebie, swój dotychczasowy skład, „odstrzeliła w kosmos“. Czy tak być musiało? Chyba nie, ale Karol miał niejasne wrażenie, że koledzy z Rady z ulgą uwolnili się od ciężaru który ich, jako grupę, przerastał. Nie bolał nad tym zbyt, bo sytuacja robiła się bardziej przejrzysta, a jego cieszyło pojawienie się „młodych, wykształconych z dużych ośrodków“, na których bardzo liczył.

Sielanka trwała nie dłużej niż pół roku.

Karol, ciągle prezes FUNDACJI, rychło odczuł brak lojalności i rzeczywistego przejęcia się sprawami, którymi młodzi menedżerowie tak ochoczo mieli się zająć. Był wobec tej sytuacji coraz bardziej bezsilny i osamotniony. Gdy doszło do łamania prawa przez menedżerów, uznał, że nie może takiej działalności swoim nazwiskiem firmować i zrezygnował z funkcji prezesa. Trzy tygodnie później młodzi, z którymi tak niedawno wiązał swoje nadzieje, dość brutalnie i nie dbając o pozory usunęli go ze statutowych organów FUNDACJI. Krótko potem nowi władarze FUNDACJI a także zamku wzięli na celownik kustosza i jego rodzinę. Nastąpiła seria działań mających usunąć go z mieszkania, legalnie zajmowanego od czasu, kiedy Karol instalował się w ruinie.

Ich cel stał się jasny, gdy w internecie ukazały się anonse pod hasłem „sprzedam zamek“. Zareagował natychmiast prezydent Miasta, zapowiadając w mediach cofnięcie darowizny. Taką batalię ratusz podjął, ale niestety przegrał. Pożytek z tego był taki, że nagłośnienie afery zablokowało inne próby zbycia zabytku.

Czy faktycznie była to afera? Była, co później - choć w innym kontekście - wykazał proces karny i nałożenie na menedżerski duet wyroków skazujących. Wątpliwości co do, afernalnego lub nie, charakteru ich działań są o tyle zasadne, że mogli wykorzystać istotny mankament umowy darowizny, przygotowanej przed trzema laty przez ratuszowych prawników. Gmina jako darczyńca pozbywający się sporego składnika swego majątku, nie zastrzegła sobie niestety prawa sprzeciwu wobec sytuacji, gdyby obdarowany chciał tym majątkiem rozporządzić w sposób sprzeczny z pierwotnymi intencjami Gminy. Osoby ciągle reprezentujące FUNDACJĘ, dodajmy: dysponujące niezłą opieką prawną, powołały się na elementarne prawo własności. Wedle zasady „to nasza własność i nic nikomu do tego, jak tym zamkiem zadysponujemy“.

I tak impas trwał.

Koleżeńskie niegdyś relacje z „młodymi, wykształconymi etc...” zamieniły się w wojnę. Karol wraz z dzielną ślubną Ewą odparli próby, także siłowe, eksmitowania ich z zamku, poradzili sobie z innymi szykanami, jak odcinanie mediów i ani myśleli poddawać się. Ich prześladowcy przestali pojawiać się na swoich włościach, ale usilnie szukali sposobu na solidne wzbogacenie się, zanim znikną stąd na dobre. Tu zderzyli się ze ścianą, konkretnie - za sprawą internetu. Eliminując Karola z kierownictwa FUNDACJI zablokowali mu dostęp do fundacyjnych kont mailingowych, ale niezbyt skutecznie. Mając przez kilka miesięcy wgląd w ich knowania zebrał kustosz materiał, którym z miejsca zainteresował się prokurator. Ten okazał się niezwykle sprawny i choć sprawa nie należała do prostych, a - jak sam mówił Karolowi - przeciwnik był dobrze obeznany w prawie i wyjątkowo cwany, to proces karny ruszył już po roku. Los zabytku pojawił się niejako w tle, bo akt oskarżenia nie dotyczył pałacu, lecz działania członków Zarządu na szkodę organizacji, którą kierowali. Sąd nie miał wątpliwości i orzekł wyrok skazujący: po dwa lata więzienia w zawieszeniu na okres pięciu lat i zakaz sprawowania przez tę parę funkcji kierowniczych w organizacjach społecznych i w spółkach. Także ten rygor wiążący przez pięć lat. Uprawomocnienie wyroku nastąpiło stosunkowo szybko, ale podsądni nie byliby sobą, gdyby nie podjęli akcji dywersyjnej. Na dzień przed uprawomocnieniem wyroku, zatem dysponując jeszcze tytułem do reprezentowania FUNDACJI, podjęli uchwałę o jej likwidacji. I to w sytuacji, gdy na mocy innego orzeczenia sądowego z wniosku ministra środowiska, jako organu sprawującego nadzór nad tą organizacją, był już dla niej wyznaczony zarządca przymusowy. Powstała sytuacja prawnego klinczu, którego rozwikłanie zajęło sądom niemal trzy lata. Darujmy tu sobie wchodzenie w zawiłości sprawy, ale powiedzmy jaki w ciągu tych lat był los zamku.

Otóż ani proces karny, ani inne orzeczenia sądowe nie zmieniły faktu, że do samego końca tego wieloletniego horroru, zamek pozostawał własnością prześladowców Karola. Jak to było możliwe? Tu znów dały znać o sobie ich szczególne talenty. To, jak finezyjnie dokonali wyprowadzenia zamku z majątku FUNDACJI i jego przejęcia przez utworzoną przez nich własną fundację, wykazał oskarżyciel publiczny w procesie karnym. Rzecz cała zadziwiała swoją wręcz koronkową konstrukcją, co ochoczo przedstawiały lokalne media. Kolejne ruchy dotyczyły ominięcia rygoru zakazu kierowania całością spraw. Załatwiono to w rodzinie, przez osadzenie ojca skazanego w roli „likwidatora“ FUNDACJI i prokurenta prywatnej spółki, do której następnie aktem notarialnym trafił tytuł własności tego obiektu. Zamek, jak worek z kartoflami, przerzucany był wedle woli tych niegodziwców. Jak szkodliwe były ich wieloletnie działania, trzeba porównać stan tego zabytku z czasu, gdy obdarowana nim FUNDACJA kwitła i „łapała wiatr w żagle“ z porażającą mizериą,

jakiej cenny zabytek zaznał pod rządami przestępczych właścicieli. Ci w ciągu tych lat byli na miejscu może trzy razy, gdy kontrolę zabytku zarządzał konserwator, którego pokontrolne nakazy całkowicie zresztą ignorowali. Zamek niedawno zadbane i tętniący życiem, teraz w istocie bezpieczny, niedostępny, odcięty od mediów, tonący w chaszcach. W sumie, obraz postępującego upadku i degrengolady. Gdyby nie Karol wraz z Ewą, żartujący iż trwają na tej placówce, jak ów Ślimak od Prusa, w zamku z całą pewnością znów pracowaliby niezawodni szabrownicy...

Ten stan rzeczy bulwersujący społeczność nie tylko lokalną, ponownie stał się przedmiotem działań prokuratury. Tym razem nie wykazała się ona taką sprawnością jak przed procesem karnym, ale po mozolnych przygotowaniach ruszył proces cywilny o kluczowym znaczeniu. Prokurator wniósł o wykreślenie w księdze wieczystej tej nieruchomości jego szemranych „właścicieli“ i przywrócenie tytułu własności FUNDACJI, trwającej od lat w stanie wymuszonej pasywności, ale teraz znów powracającej do życia.

* * *

Zbliżamy się do końca tej, przydługiej i pewnie nie dla wszystkich wciągającej, gawędy. Mogły Cię, Szanowny Czytelniku, zmęczyć faktograficzne wywody i huśtawki zmiennych klimatów i emocji serwowanych Ci przez autora.

Ale, skoro dotrwałeś do tego miejsca, pozwól mi na ostatnią porcję kronikarskiej relacji.

Dokonania tych, na których Karol tak srodze się zawiódł, były nieraz pożywką dla jego powracających refleksji nad ludzkimi obyczajami, nad naturą dobra i zła.

Zostawmy jednak aksjologię i – odwołując się do tego, co tu powiedziano o latach sprzed fatalnej pomyłki kadrowej, zbierzmy w mini-raporcie to, co tak bezsensownie zostało zniszczone.

Menedżerski duet rozpoczął rządy od wypowiedzenia umowy najmu młodym ludziom, którzy od paru miesięcy prowadzili zamkową restaurację. Krótco potem zerwał umowę dzierżawy z Agencją, pozbawiając automatycznie FUNDACJĘ korzyści, jakie dawało jej prawo pierwokupu. Zerwane zostały cenne kontakty partnerskie, zniechęcono do wszelkiej aktywności wolontariuszy, padły przygotowywane projekty, zmarnowane zostały kontakty z pozyskiwanymi już sponsorami, wyzerowana została wszelka aktywność w kulturze. Zamek zamarł i opustoszał, a popularna jeszcze niedawno FUNDACJA praktycznie zniknęła ze sceny publicznej.

Inicjatywa obywatelska o czterdziestoletniej historii miała być całkiem po prostu brutalnie zniszczona. I niewiele brakowało, aby to się udało ludziom, którzy mieli swoje plany dalekie od troski o interes publiczny, o dobro publiczne o konkretny zabytek...

Dla ciągłości gawędy, retrospekcyjną jej część zakończmy relacją o tym, co w ciągu tych bardzo niedobrych lat robił nieustępliwy kustosz zamku.

Fakt, że formalnie znalazł się na całkowitym aucie było oczywiście blokadą dla wszelkich ewentualnych poczynąń czy to na zamku, czy w stosunku do zahibernowanej FUNDACJI. Ale on wyznawał pogląd, że zawsze, nawet w najtrudniejszej sytuacji jest coś do zrobienia. Tak i w tym czasie Karol nie myślał pasować.

Oto, czym się zajmował:

Z konieczności, chcąc nie chcąc, stał się bywalcem sądowych wokand a różnych spraw toczących się w tym czasie było kilka. Nie był w tych bojach osamotniony, bo wspierał go „pro bono“ zaprzyjaźniony adwokat a także grupa młodych kolegów, którzy zawiązali stowarzyszenie Przyjaciele Zamku. To oni przekonali Karola, żeby czas zastoju spożytkował na uporządkowanie zgromadzonej wiedzy o tym zabytku. Nie było to łatwe, gdyż większość dokumentacji i materiałów badawczych pozostawała w niedostępnych dla niego teraz pomieszczeniach zamku. Korzystając z tego co miał w osobistym komputerze i w głowie, podjął to wyzwanie. Jesienią 2014 ukazała się poświęcona zamkowi monografia jego autorstwa, sfinansowana dzięki staraniom tegoż stowarzyszenia. Młodzi koledzy poszli dalej i nakręcili cykl filmików video z udziałem kustosa Karola, popularyzując dzieje i walory zamku Landau'ów.

Nie mógł też kustosz zaprzestać spotkań z grupami turystycznymi pojawiającymi się na ogół bez zapowiedzi pod zamkiem. Uniknąć tego nie było można, bo zamek od iluś lat był już w bedekerach, zwłaszcza niemieckich. Dzielił się więc swoją wiedzą ale też sumitował się i wyjaśniał, dlaczego tylko na dziedzińcu przyjmuje gości.

Nie porzucił Karol idei konserwatorskiej wszechnicy. Musiała ona jednak ulec pewnej modyfikacji. Wobec blokady możliwości związania jej z zamkiem, znalazł Karol nową formułę, pozwalającą kontynuować prace koncepcyjne i konsultacje na ten temat, bez przywiązywania koncepcji do konkretnej lokalizacji. Dzięki kontaktom z partnerami krajowymi i zagranicznymi powstał, na razie w zarysie, model sieciowej struktury placówek szkolnych i pozaszkolnych, polskich, niemieckich a także czeskich, zainteresowanych współpracą w dziedzinie kształcenia i doskonalenia rzemieślników-renowatorów zabytków. Koncepcja „sieciowej wszechnicy“, będąca jeszcze *in statu nascendi*, wzbudziła pozytywny rezonans ze strony izb rzemieślniczych, kuratoriów oświaty i innych podmiotów związanych z problemami zabytków. Był to dla Karola dobry prognostyk wskazujący iż w nieodległej przyszłości, zamek Landau'ów będzie mógł być jednym z ogniw tej ponadgranicznej sieci. Przede wszystkim istniał główny motyw jego życiowej pasji: ZAMEK.

To on niezmiennie był przedmiotem przemyśleń kustosa, buzujących w jego wyobraźni kolejnych zadań jakie w toku rewaloryzacji, która przecież musi być wznowiona, trzeba będzie wykonać najlepiej jak tylko się da. Ich lista była obszerna. Poczynając od badań dendrochronologicznych które pozwolą zadatować, z dokładnością do jednego roku, czas montażu wybranych elementów drewnianych. Wyników badań był Karol szczególnie ciekaw, bo póki co, w rozwarstwieniach historycznych niektóre fazy budowy opisywał jako hipotezy do weryfikacji. Na wykonanie czekało jeszcze szereg innych elementów: całość robót elewacyjnych, galeria balkonowa nad dziedzińcem, zwieńczenie zamkowej wieży kutą chorągiewką-wiatrowskazem z kulą i – obowiązkowo! - z aktualną „kapsułą czasu“ w jej wnętrzu. Wśród tych zadań miał kustosz swojego szczególnego konika. To ozdobny, rzeźbiony w piaskowcu portal bramy wjazdowej, zdecydowanie najciekawszy element architektonicznego wystroju tej rezydencji. Zdemontowany dawno przez PGR po jego uszkodzeniu przez pijanego traktorzystę, zachował się we fragmentach w nieco ponad ½ oryginału. Reszta uległa rozproszeniu, oraz/lub - co na tych ziemiach także się zdarzało - złodziejskiej akcji i wywózce do Niemiec. To, że portal musi zostać odtworzony było oczywiste, od kiedy stało się jasne, że ten zabytek musi ocaleć. Przyszłe dzieło rekonstrukcji miało bardzo cenną podbudowę w postaci 19-wiecznej fotografii o zaskakująco wysokiej rozdzielczości. Mając ją w komputerze Karol pokazywał kolegom jak powiększane na ekranie detale kamieniarki długo zachowują swoją ostrość. To fascynujące zdjęcie zostało

już wykorzystane w roku 2005, gdy grupa studentów Wydziału Konserwacji Dziej Sztuki krakowskiej ASP wykonywała w ramach praktyki pełny zakres zabiegów konserwatorskich na zachowanych fragmentach portalu. Obecność wybitnych ekspertów w roli opiekunów grupy, pozwoliła odbyć specjalistyczne seminarium na temat metod rekonstrukcji portalu. W końcowej konkluzji, przyjętej przy udziale konserwatora wojewódzkiego ustalono, że brakujące elementy zostaną odtworzone metodą odlewów w sztucznym kamieniu. Nieco później przygotowanie form do odlewów zostało przez renomowaną firmę krakowską rozpoczęte ale przerwane, gdy FUNDACJA weszła w czas kryzysu. Gdy kryzys zaczął wchodzić w fazę końcową, Karol nie bez obaw odświeżył kontakt z tą firmą. Był to ostrożny sondaż, ot, na zasadzie „co by było gdyby“, co do możliwości dokończenia po latach rozpoczętego dzieła. I z radością usłyszał „ależ panie Karolu, nie ma sprawy, te elementy leżą tu na paletach!“.

Drobny, ale jakże krzepiący sygnał, błysk światełka w tunelu...

Bo, tak w ogóle, nasz Karol był niezmiennie i stuprocentowo pewny, że zło jakie tu się dzieje prędzej czy później minie jak zły sen...

* * *

Epilog tymczasowy

Pozwól Czytelniku, że w tym końcowym rozdziale, nadal zachowam, nieco profetycznie, tryb czasu przeszłego dokonanego. Ot, *licentia publicistica*...

* * *

Ciągnąca się latami, głęboko patologiczna sytuacja wokół zabytku, dawnej siedziby rodu von Landau, została na gruncie prawa ostatecznie uzdrowiona późną wiosną roku 2020. Zamek wrócił do FUNDACJI, szalbierze zostali skutecznie pogonieni, choć na celowniku różnych organów pozostali. Choćby dlatego, że nie można było machnąć ręką na znaczne fizyczne szkody, jakich doznał zabytek w ciągu ponad siedmiu lat, w których za niego, jako właściciele odpowiadali. Szacowaniem szkód teraz zajęli się biegli fachowcy.

Reaktywowanie FUNDACJI było zadaniem jej zarządcy przymusowego, pana Andrzeja, którego wspierał tęgi prawnik, pan mecenas Wojciech. Poszło gładko. Najpierw uporządkowali statut tej organizacji, w którym wcześniej różnych manipulacji dopuścili się niedawni jej zarządcy (spod ciemnej gwiazdy). Następnie skompletowany został nowy skład Rady FUNDACJI. Nowością było wejście do Rady przedstawiciela prezydenta Miasta, co wszyscy uznali za dobry początek partnerstwa z Miastem a także sposób zabezpieczenia przed powtórką sytuacji, jaka wywołała niedawno zakończony kryzys.

Rada FUNDACJI w konkursowym trybie obsadziła nowy Zarząd, zaangażowany na zasadach kontraktu menedżerskiego. Oznaczało to otwarcie nowego etapu w dziejach FUNDACJI, co zaakcentowano i nagłośniono poprzez kampanię medialną, prezentującą nowych liderów FUNDACJI oraz jej długofalowe cele i zamierzenia na najbliższy czas.

W międzyczasie ważny krok wykonało Miasto, które przejęło od Agencji popegeerowskie ruiny, traktując je jako swoje wiano do projektowanego przez FUNDACJĘ konsorcjum inwestycyjnego. Ma ono wziąć na siebie zadanie budowy ośrodka wokół zamku i z nim samym w centrum. Utworzenie konsorcjum zaplanowano na początek roku 2021 a cały program inwestycyjny został wstępnie rozpisany na 3 lata, czyli do końca roku 2023.

Karol nie zamierzał obejmować funkcji w nowych organach statutowych FUNDACJI. Chciał skupić się na sprawowaniu funkcji kustosza i kontynuowaniu badań nad historią zamku. Zadeklarował kolegom gotowość służenia radą i pomocą w sprawach, w których jego wiedza i doświadczenie mogły być przydatne. Wziął na siebie przygotowywanie projektów oraz aplikacji grantowych dla realizacji kolejnych zadań zarówno związanych z procesem rewaloryzacji zamku, jak i szerzej - z realizacją ideowych misji FUNDACJI.

Dwa z zadań zostały uznane za priorytety na rok 2020 i obydwie, dzięki zaangażowaniu się w nie przez Karola zostały pomyślnie zrealizowane. Pierwszym było doprowadzenie do powstania wspomnianej już transgranicznej sieci kooperacyjnej placówek kształcących rzemieślników-renowatorów zabytków. W ramach tejże sieci ośrodkowi tworzonemu w oparciu o Zamek przypisany został profil Centrum Ochrony i Pielęgnacji Rzemiosła. Drugie z zadań Karola dotyczyło przygotowania całej akcji związanej z dokończeniem rekonstrukcji portalu głównego.

Projekt pod hasłem „Portal“ potraktował Karol jako przedsięwzięcie super-ważne! Miał to być symboliczny, czytelny dla wszystkich komunikat, że zamek ożywa i że odąd znów warto będzie śledzić to, co będzie się tu działo. Zaczął od pozyskania tęgich sponsorów finansujących to dzieło. Poszło nieźle. Potem stale doglądał postępu prac prowadzonych przez krakowską firmę konserwatorską i radowało go gdy widział jak przybywają kolejne odlewy fragmentów portalu. Jego montaż na zamkowej fasadzie rozpoczął się latem a odsłonięcie gotowego dzieła sztuki kamieniarskiej nastąpiło w połowie września. Było głośnym wydarzeniem w tegorocznym programie Europejskich Dni Ochrony Zabytków. Artystyczną oprawę tego historycznego eventu zapewnili różni artyści, występujący na prowizorycznej estradzie na folwarcznym majdanie. Było radośnie i optymistycznie.

Karol cieszył się w duchu, widząc już całkiem wyraźnie, że *polish dream* nie musi być tylko pięknym snem i że to co najlepsze właśnie nadchodzi. Parotysięczną widownię uniosła fala entuzjazmu, gdy w finale wydarzenia o swoim San Francisco z wielką werwą śpiewała zaproszona specjalnie Golec Uorkiestra z Milówki.

Autor: Jacek Jakubiec